

Józef Czechowicz
„Nuta człowiecza”, Warszawa 1939

jesienią

w oknie chmur plamy deszczowa sieć
ogród to rdzawość czerwień i śniedź
w kroplach co ciężkie na brzoskwiń listkach
niebo kuliste błyska i pryska

słucham szelestów jesienny gość
mało wód szmeru szumu nie dość
czujnie czatuję rankiem przy oknie
gdy kwiat opada w kałużę ogniem

może usłyszę któregoś dnia
nutę człowieczą z samego dna
nutę co dzwoni mocno i ostro
a niebo całe dźwiga jak sosrąb

jabłko życia

niejeden rok uchodzi od dłoni które piszą
aby odgonić wizyj puszysty zwarty natłok
oddając oczy nocom a serce swe narcyzom
uchodzę i ja także ucieczka nie jest łatwa

zakwitną kiedyś dymy na czasu złych otchłaniach
spokojnie wejdę starzec w odwiecznych ognisk światło
bom żył dwojaką siłą czekania i kochania
i nie ucieknę dłonią żywot ujmę jak jabłko

rymy pobożne

smutku pora siwa
porosła mieszkania sprzęty
wiatr chmurzyska przywiał
bladym odmętem
okno szumiące krzaki
kosaciec powiewa dłonią
to ty dajesz znaki
persefono

jutro czyha we wszystkim
nim do niego zegary dotrą
błyskawic jarzy się błyskiem
widnokrag
koniec dnia ma oczy sarnie
błyskawice chwytają za nóż
nam i bitwom elementarnym
na dwoje wróżący janus

błądząc miastem nad sobą się uzał
ang ang ang
katedr sennych dzwonienie
łamię ulic promienie
tak bym tę sprawę nazwał
neonów konstelacje
jak męki pańskiej stacje
krwawią asfalt
blask czerwona perła duża
ang ang ang
błądząc miastem nad sobą się uzał
tak by szepnąć mogła z mozaiki w bazylice
roniąc perły eleusa

pod dworcem głównym w warszawie

z okien bryzgało brzaskiem
królował w niklach bufet
biły pod sufit płaski
fontanny kwiatów kruche

są tam firanki płyną
dają tło ceniom sytych
czy to nocną godziną
czy szronowym przedświtem

alkoholu symfonie
fugi jarzyn i mięsa
ciszej grajcie w agonii
żywy głód się wałęsa

jeden głód kaszle szczeka
drugi głód palce łamie
na cóż trzeci głód czeka
drżąc we wnęce przy bramie

wielookie zarosłe
twarze głodów człowieczych
to są biedne księżyce
spustoszałych wszechrzeczy

dyszą kaszlają w runo
wytartego szalika
mówię wam przez nie runą
mocne twierdze jerycha

żał

głowę która siwieje a świeci jak świecznik
kiedy srebrne pasemka wiatrów przefruwać
niosę po dnach uliczek
jaskółki nadrzeczne
świergocą to mało idźże

tak chodzić tak oglądać sceny sny festyny
roztrzaskane szybki synagog
płomień połykający grube statków liny
płomień miłości
nagość

tak wysłuchiwać ryku głodnych ludów
a to jest inny głos niż ludzi głodnych płacz
zniża się wieczór świata tego
nozdrza wietrzą czerwony udój
z potopu gorącego
zapytamy się wzajem ktoś zacz

rozmnożony cudownie na wszystkich nas
będę strzelał do siebie i marł wielokrotnie
ja gdym z pługiem do bruzdy przywarł
ja przy foliach jurysta
zakrztuszony wołaniem gaz
ja śpiąca pośród jaskrów
i dziecko w żywej pochodni
i bombą trafiony w stallach
i powieszony podpalacz
ja czarny krzyżyk na listach

o żniwa żniwa huku i blasków

czy zdąży kreta rzeka z braterskiej krwi odrdzawieć
nim się kolumny stolic znów podźwigną nade mną
naleci wtedy jaskółek zamieć
świśnie u głowy skrzydło poprzez ptasią ciemność
idźże idź dalej

elegia czwarta

spokój falowałby ścichał drząc u studziennych cembrowin
mżąc na płomiennych topolach coś nucąc w oczach krowich
tylko że ty mi szalejesz

skrzydła teopais o skrzydła
furkocą furkocą płosząc
z mroku pastwiska
parę bułanych łosząt
pod gajem z porcelany
przebłyska
zachodu złoty dar kałuża o teopais
i domy są znane jak zygzak na starej tapecie
biegną ze wzgórz dyszą
oknami otwartymi w białym zakurzonym lecie
tak się na nas nasuwa przedmieścia obszerny futerał
ciszą

tyś wrastał w wiślane lato
gdy tratwy pluskały tędy ciemną na toniach łata
gdy w niski pułap upału tłukły ospałe ptaki
tyś dzień kołysał pomału
a jaki byłeś jaki

no miasto naroża w godłach rzemiosł
wetknął się skośny promień
w sklepu framugę i zgasł
dokoła rżał na górach gaj i żółty las
bizantyjskie niebo rżało
na dachy budynków bo dzień wiądl
czerwone płaszcze rzucało

sentencja elegijna miłosna

kiedyś wszędzie hesperus nad mym sarkofagiem
i drobnych kropel srebra w ciemności zastruże
ty w dłoń zbierzesz blask nikły ciałem jak wiatr nagim
rozweselając smętarz choć tylko w marmurze

sentencja ostateczna

nie pod krzyżem mi spać

polacy

więc najpierw blaski pną się po domach
wyżej i wyżej i gasną na rosie okien
warszawa wisła w układzie zodiakalnym nieomal
bo widzę wodnika pannę ryby

wieczór niweluje zieleń i purpurę
wchodzi po schodach wyżyn na niebo krok za krokiem
otrząsa się w zenicie zatrzymuje rdzawe obłoki
ciemno
jak gdyby
aksamitu fałdy urosły w całą górę

wieczór codzienna daremna
forma syntez

wsparci wzrokiem o rzekę o kratowany most
dajemy się ogarniać muzyce horyzontu
błyski w wodzie chodzą gwintem
gwintem spływa hałas uliczny
rozplusk mokry klaszcze dłońmi czarnymi o ponton

rejestrując zdarzenia milczmy
bowiem pod świateł strażą sypią się perły uroku
pod świateł strażą błogo leją się wieczór i lato
wiatr żarliwy radośnie parska
zginęły w drzew zadymce geniusze mroku
jest tak jakby nie grzmiała granica zamorska
jakby nigdy przez falę nie stapał skrzydlaty tanatos

przypomnij
przypomnij przypomnij
za miastem sprężona droga

przestrzeń mdli na niej w okrytych pyłem stopach
rozpostarły się szerokie rozłogi
zły ugór pod noc podsuwa się bezdomnie
o uwierzyć że to ona
obmyta w zimnych potopach
jak ranni

w syntezy formie którą jest wieczór
utkwiał po rękojeść głos
jego stal drży
jego smukłość wyrywa się z porządku rzeczy

we mnie to czy w nas czy za mną
ten gniew bez żalu
czyś to ty ojczyzno serce los
czyś to ty słoneczna jerozalem

moje zaduszki

wyprowadzam królów szeregi
mają szaty zorzanozłote
ja nad falą ładogi oniegi
złote szaty fałduję młotem

przeznaczenie to moje umarli
wam krokami pożarów grać
cienie wzywać na grobów darni
słów muzyką ku wam je gnać

a w tym kraju inaczej świta
łuski wodne u kryp się łamią
gwiazdę bladą przez kraty widać
głosy fabryk ranią i kłamią

o piwiarnio w której się budzę
obnażone konary lip
ci pijani ubodzy ludzie
dorożkarska szkapa u szyb

wolno kładę na kartach rękę
trudno śpiewać śpiewaniem pisać
zziębli z torów zbierają węgiel
węgiel brudzi listopad liszaj

lepię tęcze na rudej darni
królów gonię na złoty bieg
to co stworzę wesprzyjcie zmarli
może przetrwa i nas i brzeg

przedświt

pół globu wypływa spod nocnych gwiazdności
śpiący już ręce unoszą a zasiani są gęsto jak sieć
przedświt schodzi łagodnie ma moc uspokoić uprościć
lecz zginie gdy się w niebo wleje płonąca miedź
północ sączyła udrękę cóż z tego zabłysła woda
można choć konno uciec uciec wzdłuż niskich wierzb
tu koń tu na wprost drogą pachnie jesienna uroda
zaranna rosa liże po rękach liże jak zwierz

jest wybawienie kupcy cieśle prorocy złodzieje
patrzeć młodo
widnokrąg ugnie się niby rzemień
zanim rozdnije strzemię

powietrze rwiesz to pęd to pęd u czoła wiatr i wiatr
u pięt promienie wierzb unosi wiatr i wiatrem koń
w czerwony pęd w niebieski pęd w zielony pęd
ha w wodospadach pagórków tętent lotnej pogoni
najbliżsi nienawistni na koniach smolistych i rydzach
chcesz czy nie chcesz zaliczonyś do nich
widzisz

w świtanu pałającym przewala się tłum jeźdźców
a oddalając się rosną
o klęsko
dno

zawrzały jednocześnie noc północ świt i wieczór
droga strumień wierzbiny burzą się wirują grzmia
a konie jak urastają gniotąc ogromem jesień
w potwornych obłoków leju znikasz i ty i oni i wszystko

i nie wiadomo gdzie się
ozwała trąbka żołnierska
grając opadłym z wierzb listkom

wigilia

kolędo czarujesz a łowisz jak niewód
a rośniesz jedlicznych żywiczny bór
tak radziemy cackom i świeczkom i drzewu
co z gęstwin przybyło w zieleni piór
lulajże Jezuniu lulajże lulaj
a ty go Matuniu w płaczu utulaj
królowie i święci w kamiennych portalach
czuwają noc każe nateżyć słuch
muzyką sypnęło z wysoka i z dala
zachręścił jak perły pierwszy ruch
lulajże Jezuniu
widziadło śnieżycy wyszydza to świszczę
dłoń trędowną raniące o głóg
wiesz w łunie wigilii śpiewają chórmistrze
krzewino zaiste zrodził się bóg
lulajże Jezuniu lulajże lulaj
ty nigdy nie będziesz chodził o kulach

ach ślepi ach głodni nakryci gazetą
po bramach śpią ludzie centurie chór
im sianem stajenki jest asfalt i beton
z ciał można ułożyć piękny wzór
lulajże człowieku lulajże lulaj
ulubione pieścidełko samotności

co spływa ku nam

listek łódeczka żółta opadający motyl
z dębu na czarnorole
teraz dokoła płoty i płoty
drewniane aureole

wieczorem księżycowy srebrnik
wicher węszy
jesienią bywa rzewniej
bo smutek gęstszy
bo znad bałtyku od mgieł włochata
skrzypi sośnina
i w naddniestrzańskich słyszysz Winogradach
deszcz zacina

biły tarabany biły tarabany
dobyli surmacze głosu z surm
tupotały pułki turkotały czołgi
u stóp gór
biły tarabany biły tarabany
kołysały łany jasnych ostrz
dudniły armaty tętnili ułani
wojsko szło

zaolzie
spoza leśnych granicznych przesiek
w żelazie brązie
rąbek mapy nam wzeszedł
a to dobra nowina
choć słota skośna słota stroma
słota sina
choć listopad
i słomy chocholej mokry aromat
w drewnianych drewnianych płotach

za nami tylko lat dwudziestu ginący obłok

ten czas co spływa ku nam będzie inaczej
niemało znaczy
o mesjaniczna o zmartwychwstała
płowąś purpurą w oczy powiała
więc nowe horodło
więc święty stefan bliżej
bratersko bór litewski będzie grał
i pomożemy błysną chrześcijańskie krzyże
jak dawniej z kijowskich soborów i ławr
z katedry mińskiej

chłop czy kto inny z żołnierskich onuc
to u nas rycerz to u nas konung
nie nazywajcie mi go żołdatem
bo jeśli idzie to na krucjatę

z mogił co gąszczem po polach broczą z mogił
z rąk co upadły jak żółty listek dębu
wyśniłaś się wyszłaś na drogi
choć sztandarów zetlały strzępy
o matczyna
z jałowcowych gęstwin
co splątały się jak strumyczki krwi w zawiły ścieg
daj nam drugi wiek jagielloński zwycięski
złoty czas wielkiego pokoju wiek

sen sielski

od powały nocy co zwisa
przez szum jaskrów i bylic
byłby bulgot deszczu jak zmora parskał
lecz znane są słowa zaklęć siarka
zwełnienie grzyw kobylich

chodziła Maria Panna między gwiazdami
chłodziła Maria Panna dusz cierpiących upalenie
a ja w gromie stoję północy się boję
po co wam przebywać ze śpiącymi i ze snami
nie męczcie odfrućcie dokąd chcecie
kruki wilcy niedźwiedziowie jelenie
amen

o ciemności tak czysta teraz
błysnął nad gankiem twój srebrny grzebień
ta cicha mowa w rowie
to lepiech
ogłasza wodną spowiedź
gwiazdy maryjne palcami przeciera
a nam jak mówić gdy za szybą sad
i dalej ule grzędy kopru marchwi

oczyść nas ktokolwiek jesteś wszędzie
odfrućcie od nas dzieła ludzkie i zwierzęce
po to klęczymy leżąc na słomie jak martwi
od niezliczonych lat

plan akacji

gałąź akacji woń to lichtarzy miodu i uciech
ach poi jakbyś nad sobą sam się pochylał gnuśnie
westchniesz jak niebo uśniesz
i liśćmi zamulisz ciepłe wybrzeże
ta gałąź skrzydło nieziemskie nagość twoją ubierze

muzyczny cień karuzeli zdobywa wody i pień
z dymnych błękitów rumieniec
na drzewo na miasto zachodzi
napęlnia także domu sień
tętentem godzin

oto podwórza cierpienie oto ogrodu śmiech
bo upadł mocno i głucho
niby spętany jeniec
akacji starej plan w łopuchy
w łopuchy w ciernie pokrzywy
a mnoży się tam a troi
musując wulkanicznie jutrenkowo

białych płatków zastęp
ku wybrzeżu powietrzem steruje
tam bulgocące żarem hipogryfy
do wodopoju gna koryncki pasterz
czy nazareńczyk szanujący słowo

któż wreszcie wyzna co trzeba
różyce korabie nieba
lub smutno mówić ogrójec

kompozycja

o gniadym zaranku
świerk w ptaszęcym wianku
pod zielenią grube niedźwiedzie
krystka nuci na hałdach
radość tupie po ganku
szosą ja sam nie wiem co jedzie

na to srebrnie płowo
z malinowym błyskiem
promieniają płytkich wód pasma
wypadł bożyc z byliny
a tratuje po wszystkim
w smugach jasny pod słońce hasa

nieznany a śliczny
snami połowiczny
daj nam swe obce hierarchie
mówi krystka
ciął ręką po strumieniu krynicznym
mokry pył tęczą wzbił nad jej karkiem

jakież upał
grono chwil znojnych in quarto
samolotu cień pomknął po miedzy
cóż na szosie
tam jedzie nawet spojrzeć nie warto
lepiej w książki po łaskę wiedzy

ze wsi

tych kijanek tych praczek u potoczka
kujawiak kujawiaczek
siwe oczko śpij
bura burza od boru
i jak bór dudni piorun
rzucili na wodę złocisty kij

pogryzł deszcz widnokregi niedobry pies
w glinie zburzył krople rude
mokra wieś wieczna wieś
takie dno zielonego świata

znad wisien czeresien zmyło błękit
śpij dziecko niezabudek
no śpij

w okno patrzysz a po cóż
to znasz
niepogoda na uwrociu opłakała trawkę

mam ja za obrazem grający kij
mam ja ligawkę

kujawiak kujawiaczek

w muzyce śpij

pieśń o niedobrej burzy

oj zaszumiały chmiele Winogrody
ponuro ponuro
kiedy sypnęło lazurowym gradem
za górą

oj i pomknęły nadobne panienki
po ługu po ługu
zsunął się wężyk srebrzysty maleńki
po pługu

oj malowany panie muzykancie
zła chwila zła chwila
już się most z pawiem na młynowym stawie
przechyla

oj w siwej burzy opadało kwiecie
i liście i liście
jużci pług w kuźni młotkami bijecie
ogniście

oj malowany panie muzykancie
umykaj umykaj
śmierć twoja błyszczy na stalowym kancie
jak mika

oj skrzypki skrzypki z samorodnej lipki
zakwilą zakwilą
długo się będą osmucaly chmiele
tą chwilą

nie chciałeś panie kudłatym kowalom
uwierzyć uwierzyć
głowa pod mostem nad nią wody welon
już bieży

organy grają panieneczki łkają
pług dzwoni pług dzwoni
czy będziesz w raju czy ty będziesz w rajskiej
koronie

ej malowany panie muzykancie po coś
grał z gradem grał z gradem
nie lepiej było kochać skrzypki nocą
chodzić srebrnego wężyka śladem

obłoki

obłoki przyjaciele pastuszego świtania
nad wioską biały wieniec u strzech i kalenic
umilknij mokre niebo dosyć modrego grania
obłoki nam ukażą galop i uciszenie
obłoki siła dźwiga spoza namiotów jodeł
bór obalają rdzawy ku wodzie bruzdy szklącej
biją jak cichy werbel powracającej roty
obłoki czeremchowe chłodne płynne i rącze
obłoki srebrny łopuch na firmamentów dunaju
chłoną się drą i dzielą i rosną w zakosach
te kamienie bez wagi skądś z fruwających krajów
czy może tuman pyłu po niewidzialnych wozach
obłoki ujrzyć z góry to ujrzyć niw rozłogi
świat z białymi dziurami niby książka we śnie
oczy się niepokoją wtedy szukają drog
bo oczy plam nie lubią ślepoty ani pleśni

jest droga pod olbrzymim niebem nisko na którym
obłoki obłoki obłoki drogą idzie staruszka tobołek
niesie w ręce ciemnej spracowanej

jeszcze pejzaż

drogę wóz turkotem napoił
ptak to obleciał jasną pręgą
oplótl oplatał
na koński łeb i chomąto
wionęło żywicą z choin
gdzie Boża Męka

jedź
dom blisko
dom blisko już

pod pianą fal przyboisko
prom jak zabawka malutki
gołębie i krzyże się iskrzą
na widocznych zza wzgórz
białych wieżach kościoła słobódki

a jezioro u drogi jak szklane słońce
dzień po zaściankach białoruski dymi
wodę ugrzewa w obrywistych brzegach
dzień białoruski w rybach grzybach mące
przez pola piosnka przebiega
spod sznurów opada i wzlata
echo ją goni a huśtawka skrzypi

jedź
wielkanoc tuż tuż
kraszanka w barwie tych z obrazka róż
za wodą ku rojstom spadła

modlitwa żałobna

że pod kwiatami nie ma dna
to wiemy wiemy
gdy spłynie zórz ogniowa kra
wszyscy uśniemy
będzie się toczył-wielki grom
z niebiańskich lewad
na młodość pól na cichy dom
w mosiężnych gniewach
świat nieistnienia skryje nas
wodnistą chustą
zamilknie czas potłucze czas
owale luster

póki się sący trwania mus
przez godzin upływ
niech się nie stanie by ból rósł
wiążąc nas w supły
chcemy śpiewania gwiazd i raf
lasów pachnących bukiem
świergotu rybitw tnących staw
i dzwonów co jak bukiet
chcemy światłości muzyk twych
dźwięków topieli
jeść da nam takt pić da nam rytm
i da się uweselić

którego wzywam tak rzadko Panie bolesny
skryty w firmamentu konchach
nim przyjdzie noc ostatnia
od żywota pustego bez muzyki bez pieśni
chroń nas

opowiadanie

dian kończący rachunki zatęsknił tak za obrazem
że nawet w słojach stołu frunęły dymy nad rzeką
za jabłkiem odpływającym spoglądał wędkarz starzec
punkt perspektywy je wciągał rzucony dość daleko

owoc ten targowisko zroniło skłute dżdżu szydłem
a przylepione do wzgórz rojnymi plastrami tłumów
gdzie mleko w obłych blaszankach białym trzepało skrzydłem
gdzie kalafiory pianą i kwiaty z bibulek szumu

targ ów zroniło miasto niech się poleje ku wodzie
miasto wsporniki pochyle igły gotyckich wieżyc
które krzyżami od Trójcy bodzie obłoków łodzie
i biega w jarach zielonych nie chce jak inne leżeć

dian przechodził tamtędy niedostrzegalny a hardy
darł ornaty lazuru aż słodko w zaułkach grało
natknął się na włóczęgów tak ostro sypali karty
nie patrząc znad gry do góry na pięknej tęczy pałak

odbiegam od rytmu wiersza dian patrzy ze schodów wielkich
znów targowisko w błocie dwóch dorożkarzy podeszwy
jeden kielbasę dzielił drugi bulgotał z butelki
na przyjacielskie śniadanie pośród drzew kałuż i mierzwy

dian wracaj wróć do wyliczeń świeżość poranka wiotczeje
zachłanny świat jak banię wynosi nad siebie światło
dian czas na ciebie spełnij matematyczne nadzieje
doprawdy starzec rybaczy stracił już z oczu jabłko

westchnienie

którem nieraz w księżycu pobiałach przemierzał
urocze miasteczko
włodzimierzu

pod perłowym stepem nieba
kiedy noc majowa
ogrom cerkwi płynął w drzewach
gwiazdy stały w rowach
parowozy gdzieś za stacją
oddychały długo
powiew niósł to i akacją
pachniało nad rzeczką
nad ługą
cień dzwonnicy na ogrodzie
wskazał krzak słowiczy
wołyńskie coraz słodziej
pianie okolicy

o miasteczko

piosenka czeski domek

od strony strun od strony strun
kończy się fantaplastyczny tom
zbudował anioł na łąkach łun
w rozkwitłych witek migdałowca
czeski domek taki mały figlarny dom
dla mnie świtowego wędrowca

matko skąd ptaki w kieszeniach masz
ach lecą lecą piosenki ros
domek jak bemol odwraca twarz
pójdą deszcze batami po owcach
nieco w górę i w prawo na wskos
do mnie świtowego wędrowca

nie wiem i wiem nie wiesz a wiesz
śmieje się toń przemądrzała mórz
czeski domek mi żółknie jak papier wszertz
prócz dachu stanie żółtolity
o przynieście tu lubelskiej rzeczulki nóż
ukroimy wędrówkę świtu